

Mateusz Chudziak: Meandry tureckiej polityki wobec Unii Europejskiej

Zdawać by się mogło, że w czasach „końca świata, jaki znamy” każdy rząd drzeć będzie w posadach. W przypadku Turcji powyżej wymienione oznaki tego końca, stały się jednak okazją, żeby relacje z Unią wyprowadzić z „przedpokoju” i ułożyć je na własnym (dosłownie) terenie i na własnych warunkach – pisze Mateusz Chudziak w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Turcja – geopolityczny jęczyczek u wagi.

W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy w relacjach między Ankarą i Brukselą dokonał się zwrot, który jeszcze do niedawna trudno było sobie wyobrazić. Stosunki te zyskały najwyższą intensywność od momentu rozpoczęcia przez Turcję negocjacji członkowskich w 2005 r. Jednocześnie jednak temperatura prowadzonej przez obu partnerów współpracy jeszcze nigdy nie była tak wysoka. Oto Wspólnota Europejska stanęła w obliczu największego kryzysu migracyjnego od czasów II wojny światowej. Jej przywódcy zmuszeni byli zwrócić się do coraz bardziej problematycznego sąsiada. Ten, od wielu lat (wedle własnej rachuby – ponad pięćdziesięciu) czeka w unijnym „przedpokoju”. Temperaturę tę jeszcze bardziej podnosił fakt, że na jesieni 2015 r. jasne stało się, iż Turcja nie jest już tym samym państwem, co jeszcze kilka miesięcy wcześniej. Brutalna kampania przed przyspieszonymi wyborami do parlamentu oraz zerwany rozejm z Partią Pracujących Kurdystanu (PKK) ostro rezonowały wewnątrz samej Unii. Wyrazem tego był narastający w europejskich

społeczeństwach opór przed bliską współpracą z państwem, które gnębi działaczy ruchu kurdyjskiego, liberalną i konserwatywną opozycję oraz nieuchronnie zmierza w stronę autorytaryzmu.

Proponowany przez władze unijne sposób rozwiązania kryzysu według klucza kwotowego wywołał wewnątrz Wspólnoty poważne zgrzyty. Zmusiło to zatem Brukselę do zaciśnięcia zębów i ułożenia się z Turcją w kluczowej dla przyszłego kształtu zjednoczonej Europy sprawie. Sama współpraca wokół jego zażegnania to jednak tylko jeden z wymiarów wzajemnych relacji turecko-unijnych. Te bowiem są znacznie bardziej wielowymiarowe. Obie strony zdają się być na siebie skazane. Turcja zaś z Europą związana jest organicznie. Związki te obejmują nie tylko współpracę polityczną, ale przede wszystkim gospodarkę (unia celna od 1995 r.) oraz społeczeństwo (ok. 5 milionów Turków w krajach UE). Wobec tego, aby zrozumieć dynamikę obecnych relacji dwustronnych, niezbędne jest ich prawidłowe zdiagnozowanie. Co stanowi zatem dla Turcji główny motor jej działań wobec Brukseli? Skorośmy już ustalili, że ewentualne spektakularne zerwanie relacji miejsca mieć nie może, to należy mieć na uwadze, że polityka Ankarę wobec Unii stanowi dla Turcji jeden z tych odcinków, na których manifestować ma się jej wielkość. Taki bowiem aksjomat obowiązuje w Turcji pod rządami prezydenta Recepta Tayyipa Erdoğan. Nie zmieniają tego ani doraźne niepowodzenia w polityce zagranicznej, ani wewnętrzna niestabilność. Turcja powołana jest zatem do tego, aby być wielką. Kiedy zatem można to zmanifestować, jeśli nie wówczas, gdy Bruksela zdaje się być pod ścianą? Rozwijanie intensywnej politycznej współpracy stało zatem najlepszą okazją do wypracowania nowej formuły, w jakiej Turcja może współpracować z Europą.

Pilny uczeń w przedpokoju

Aby zrozumieć doniosłość tego zwrotu niezbędne jest krótkie przypomnienie historycznych uwarunkowań wzajemnych relacji, jakie łączyły Turcję z Europą. Proces modernizacji i okcydentalizacji Turcji stanowi przypadek na tyle widowiskowy, że można uznać, iż wiedza na jego temat znajduje się w kanonie wiedzy ogólnej. Dla przypomnienia warto jednak nadmienić, że ostatnie dwieście lat w dziejach tego kraju to nieustanny proces wdrażania rozwiązań prawnych, ustrojowych, militarnych i gospodarczych, zgodnie z trendami wyznaczonymi przez silniejszego, bardziej sprawnego i nowoczesnego sąsiada. Jednocześnie jednak Turcy przez cały ten okres starali się pogodzić z obroną własnej tożsamości kulturowej i religijnej, a niekiedy dokonywali śmiałych i ciekawych syntez tego, co nowoczesne (wówczas nie inne, niż zachodnie) z muzułmańskim. Dotyczyło to w takim samym stopniu liberalnych modernizatorów, jak i modernizatorów muzułmańskich. Jedni liberalizowali więc islam, drudzy zaś islamizowali liberalizm. Kontynuatorami tej drugiej tendencji są przedstawiciele obecnych władz tureckich. Kościec Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), która rządzi Turcją od 2002 r. wywodzi się wprawdzie z kręgów antyliberalnego islamizmu, niemniej jednak dojście do władzy wymusiło na nowych elitach działania w ramach obowiązującego dotychczas paradygmatu. Turcję zaczęto zatem w Europie opowiadać taką, jaka jest, używając języka liberalnej demokracji. Innego paradygmatu bowiem nie było. Taka wizja Turcji uznawana była za atrakcyjną. W połowie poprzedniej dekady można było zatem uznać, że kraj, który złożył akces do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej w 1959 r., gotów jest na rozpoczęcie negocjacji. Szybko uwidoczniły się jednak mielizny, które okazały się trudne go przekroczenia. Demontaż autorytarne go kemalizmu nie wystarczał do otwarcia kolejnych rozdziałów negocjacyjnych, a wśród elit tureckich

narastała frustracja. Turcja zatem, ośmielona swoim sukcesem gospodarczym oraz jako taką syntezą islamu i liberalnej demokracji, zaczęła zwracać się ku Wschodowi.

Wielcy na Wschodzie, wielcy na Zachodzie

W okolicach kryzysu ekonomicznego z 2008 r. władze tureckie zaczęły zwiększać swoje zaangażowanie w krajach Bliskiego Wschodu. Oto rosnąca w siłę Turcja, która zrzuciwszy balast kemalistowskiego autorytaryzmu demokratyzuje się i systematycznie rozwija, pozbawiona kompleksów, triumfalnie niesie kaganek turbonowoczesności. Turcja przekonana była o własnych atutach, które pozwalały jej myśleć o sobie jako potędze. Świadczyć miały o tym turecka *soft power* mierzona wzrastającym pozytywnym stosunkiem arabskiej ulicy do Turcji, ekspansja tureckiego biznesu oraz polityczna wizja rozwoju całego regionu pod przywództwem Ankary. Arabskim sąsiadom (ich dotyczyło to w pierwszej kolejności, dalej w kolejce stała reszta dawnego Trzeciego Świata) miało to przynieść rozwój, który kojarzyłby się z dumą, a nie kolonialnym upokorzeniem. Taka wizja, zgrabnie ujęta w ideologiczne ramy neoosmanizmu – ideologii rodem z gabinetu tęgiego uczonego Ahmeta Davutoğlu miała zatem potwierdzić wielkość Turcji na Wschodzie, ale stać się również wabikiem dla Zachodu. Jeszcze w 2012 r. ówczesny turecki minister ds. europejskich Egemen Bağış w wywiadzie dla Al-Dżaziry powiedział: „Unia Europejska to największy w dziejach projekt pokojowy. Tym, co możemy do niej wnieść, jest podniesienie tego projektu na poziom światowy”. Któż by nie chciał takiej Turcji?

Arabska Wiosna miała być zatem darem z nieba, który pozwoli na realizację planu opracowanego przez Davutoğlu - teoretyka i wizjonera stojącego na czele tureckiej dyplomacji. Zarówno egipska centrala, jak i krajowe filie Zgromadzenia Braci Muzułmanów (tunezyjska Nahda, Bracia w Syrii i Jordanii) miały zarzucić obskurancki fundamentalizm i przekształcić się na modłę tureckiej AKP. Zdobywszy władzę po spodziewanym upadku arabskich tyranów miały one stać się forpocztą transformacji w duchu muzułmańskiej awangardy znad Bosforu. Szybko stało się jednak jasne, że w Syrii sprawy nie pójdą tak łatwo. Weryfikacja przyszła szybko i w sposób bolesny. Świadczyły o tym opór Asada, radykalizacja opozycji, na którą Turcja postawiła, powstanie kurdyjskiego para-państwa na północy kraju oraz ekspansja Państwa Islamskiego. Najbardziej bolesne okazało się powstanie kurdyjskiej Rożawy – zdominowanej przez radykalnie lewicową Partię Unii Demokratycznej (PYD), będącą syryjską filią Partii Pracujących Kurdystanu (PKK), z którą Turcja walczy od 1984 r., a która uznawana jest za terrorystyczną w USA i UE. Straszliwa wojna przyniosła falę uchodźców, których liczba w Turcji rosła lawinowo, zwalczanie Kurdów w Syrii doprowadziło do zerwania rozejmu z PKK i rozlania się fali terroru po samej Turcji. W połowie 2015 r. z planów zostało niewiele. Narastał zaś problem z uchodźcami, ataki islamistów na południu Turcji były zaś tylko preludium do całej serii krwawych zamachów. Dodatkowo po raz pierwszy od objęcia władzy AKP straciła większość w parlamencie na skutek sukcesu Demokratycznej Partii Ludów (HDP) – ugrupowania związanego personalnie i ideowo z PKK, które odrzuca jednak walkę zbrojną. Otwarty front z PKK, walka o odzyskanie większości w kolejnych wyborach i narastająca destabilizacja przyspieszyły budowę autokratycznego porządku. Szybko okazało się, że (najprawdopodobniej celowe) zaniechania w pilnowaniu przez

Turcję własnych granic spowodowały, że wojna w Syrii dla człowieka Europy nie jest już egzotycznym konfliktem, ale może stanąć w progu jego domu. Wobec tego w Brukseli postanowiono działać.

Europa pod ścianą. I dobrze!

Zdawać by się mogło, że w czasach „końca świata, jaki znamy” każdy rząd drzeć będzie w posadach. W przypadku Turcji powyżej wymienione oznaki tego końca, stały się jednak okazją, żeby relacje z Unią wyprowadzić z „przedpokoju” i ułożyć je na własnym (dosłownie) terenie i na własnych warunkach. Wizyty Donalda Tuska i Angeli Merkel w czasie trwania kampanii wyborczej w Turcji nie miały precedensu. Legitymizowały bowiem władze, które bezwzględnie dążyły do odzyskania kontroli nad państwem. Turcja wytargowała dla siebie odmrożenie procesu akcesyjnego, obietnicę liberalizacji wizowej dla swoich obywateli podróżujących do EU oraz pomoc finansową. Plan przypieczętowano w marcu. Efekty? Od kwietnia do czerwca 2016 r. liczba osób nielegalnie przedostających się z Turcji do Unii spadła o 95%. Okazuje się zatem, że Turcja miała narzędzia, aby wnieść własny wkład w rozwiązanie kryzysu.

Dla Ankary współpraca ta okazała się zatem pilotażowym programem dla przyszłych stosunków z UE. Pomysłodawca planu i orędownik integracji europejskiej Davutoğlu nie jest już jednak premierem. Sprawy w Turcji i Unii poszły tak daleko, że obecnie żadna ze stron nie ma ochoty na kontynuowanie fikcji negocjacji akcesyjnych Turcji. Problemem pozostaje tylko forma rozwiązania tego „skomplikowanego związku”. Realną relacją jest bowiem trudne i szorstkie partnerstwo, które opierać się będzie na rozwiązywaniu doraźnych problemów i

kontynuacji współpracy gospodarczej, której Turcji nie zastąpi ani Rosja, ani żaden inny partner (ponad 150 mld. euro rocznie w handlu z UE, wobec 9,5 mld USD w pierwszej połowie 2016 r. z Rosją).

Rozchodzące się drogi

Bezprecedensowe upodmiotowienie w relacjach z Brukselą spowodowało, że Ankara nie jest już skazana na bycie przedmiotem unijnej recenzji. Wzmocnione to zostało przez falę populizmu wywołaną kryzysem migracyjnym w Europie. W Turcji nie ma poczucia konieczności oglądania się na Unię. „Po co nasz kraj ma się liberalizować, skoro nie wiadomo, czy liberalny porządek unijny przetrwa?” - zdają się pytać Turcy. Dodatkowo, okazuje się, że Turcja gości i opiekuje się trzema milionami uchodźców syryjskich, którzy dla Europy stali się tak wielkim ciężarem. Poczucie wyższości moralnej, świadomość umiejętności stawiania czoła przeciwnościom, mimo narastających trudności oraz przekonanie o niechęci Europy do Turków i islamu wzmacniają poczucie rozchodzenia się dróg. Nie będzie więc w błędzie czytelnik, który czytając o tym przeżywa *deja vu*. Gdzieś już przecież słyszeliśmy o „Gejropie” i „zgniłym Zachodzie”. Turcja staje się bowiem dla Europy „małą Rosją”. Będzie to partner, z którym trzeba się układać. Po obu stronach silna pozostanie jednak świadomość skazania na siebie. Niemniej, współistnienie to będzie trudne i problematyczne.

Mateusz Chudziak

Ośrodek Studiów Wschodnich